Aleksander Wszędybył

**Mordercza ambicja**

Nie, to nie był budynek wyglądający na zwykłą, nawiedzoną chałupę. Gmach wyglądał, jakby w jego wnętrzu, gdy nikt nie patrzy, kotłował się rój dusz, które kiedyś - jak jakiś sklecony chałupniczo ładunek pełen śrub i gwoździ - eksplodowały na wszystkie strony, tłukąc szyby  
i szatkując wnętrza, by rozprute korytarze i sale szpitala mógł pokrywać naturalny opatrunek  
z pajęczyn i kurzu.

Minął kilka pomieszczeń. Chrzęst deptanego gruzu płoszył umykające szczury.

Otworzył zasuwę. Zdębiał. Oblał go pot.

\*\*\*

Zobaczyła, jak skóra położonej na rozgrzanej patelni dłoni skwierczy i odruchowo wrzasnęła.

Wzięła głęboki oddech, przetarła zmęczone oczy. To nie pomogło, więc spryskała twarz zimną wodą. Wyobraźnia płatała jej okrutne figle.

Normalnie nie zabrałaby się za robienie obiadu, ale musiała. Gdyby wiedziała, co wyczyta w międzyczasie w tamtym opowiadaniu, nie podeszłaby dziś do kuchenki. Niestety mięso  
z kurczaka miała już rozmrożone, nie mogło się zmarnować. Zaczęła smażenie, choć w głowie miała jeszcze wszystkie te okropieństwa, łącznie z literackim obrazem opalania ludzkiej dłoni palnikiem. Wszystko to, co wypełzło z tej czarnej koperty.

Nigdy tak się nie czuła. Bała się patrzeć na patelnię, bała też podnosić wzrok na szybę kuchennego okna. Na zewnątrz panował już zmrok, a okno niczym lustro odbijało nieco zniekształcony obraz wnętrza jej domostwa.

Co zobaczy, gdy spojrzy w okno? Ktoś będzie stał za nią i będzie zbyt późno  
na jakąkolwiek reakcję? Zobaczy cień, który przemknie w mroku korytarza? Gdy wieczorem zaczęła małe porządki udając, że wcale nie chodzi o sprawdzenie, czy na pewno nikogo nie ma  
w szafie, śmiała się sama z siebie.

Teraz nie było jej do śmiechu.

– Pieprzyć to – wyrzuciła z siebie.

Wyłączyła kuchenkę, zostawiła w połowie surowe mięso, po czym wbiegła do korytarza. Ubrała kurtkę, sprawdziła czy telefon jest na tyle naładowany, że posłuży jako latarka, po czym ruszyła do drzwi. Cały czas miała w głowie treść tego opowiadania. Wiedziała, że nie znajdzie spokoju, nie zaśnie, póki czegoś nie sprawdzi.

\*\*\*

Czuł, jakby po głowie pełzła mu pulsująca ośmiornica, która chce łapczywie odciąć go  
od tlenu. Od dźwięku. Od świata.

Tkwił w zawieszeniu. Teraz nie był w załatwionym naprędce mieszkaniu, usytuowanym  
na III piętrze bloku przy ul. Kasprowicza. To znaczy był, ale tylko fizycznie. Odpływało z niego nocne zmęczenie. Nie było dziesiątek obcych mu talerzy anten satelitarnych, wycelowanych w niebo. Nie było balkonów, udekorowanych mokrymi ręcznikami. Nie było praktycznie też mieszkania, w którym przecież teraz był. Nie było tego wszystkiego w jego głowie. Nie było zapachu kapuśniaku, który gotował ktoś z tej samej klatki. Nie było nawet hałasu, który uporczywie generował jakiś jegomość, wyjaśniając kompanowi przed blokiem, co Unia jeszcze kurna wszystkim pokaże, a komu mogą skoczyć Wieprze i inne Drzewiarze.

Był poranek, a on tkwił w zawieszeniu pod prysznicem. Fala kojącej cieczy spływała od czubka głowy. Każda kropla niczym żyjątko torowała sobie drogę w gąszczu włosów  
i jakże często wyśmiewanych bokobrodów. Woda chciwie spływała po opuszczonej głowie, szukała otworów, które może przesłonić, stwarzając pozór odcięcia od powietrza. Jak namiastka waterboardingu.

Hm, waterboarding. Czytał o nim kiedyś. Potem już nie musiał. Praktyka sama przynosiła efekty.

Uwielbiał ten moment, gdy strumień letniej wody uderza wciąż i wciąż w ciało. Gdy po chwili otrzymania ciepła nadchodzi dreszcz, bo woda nie była na tyle gorąca, by dać organizmowi ten komfort na dłużej niż ułamek sekundy. Mini masochizm.

Skończył poranną toaletę, narzucił na siebie szlafrok i usiadł na wysłużonej kanapie. Zapachy wróciły. Wziął ze stolika jedno z wydrukowanych zdjęć, z którego uśmiechała się do niego kobieta. Popatrzył na nie jeszcze raz i odłożył fotkę na stolik, który był zasłany różnymi zdjęciami, jak alejka parku Roth jesiennymi liśćmi.

Wiedział, że ktoś zniknie. To musiało się stać. No i ona zniknęła

Wstał z kanapy, założył na siebie zdjęty z wieszaka płaszcz. Rorschach dla ubogich, pomyślał. Wyszedł z mieszkania i ruszył schodami na dół.

\*\*\*

Kończę trzecią powieść i szukam inspiracji. Rozstałem się z kobietą, a pobyt w Raciborzu działa na mnie kojąco. Przyjechałem z moją suczką, buldogiem francuskim do reproduktora,  
a to potrwa kilka dni.

Mógłby wymyślić milion pięćset historyjek i opowiadać je drapiąc się po bokobrodach, gdyby ktoś pytał go, co robi snując się po Raciborzu. Co robi, gdy niby przypadkiem pojawia się przed gmachem Miejskiej i Powiatowej Biblioteka Publicznej im. Ryszarda Kincla i zerka,  
jak ludzie pokonują stromiznę schodów i znikają w czeluściach budynku.

Mógłby opowiadać te wszystkie historie, gdyby ktokolwiek go o to pytał.

Czy ma kartę na punkty? O to zapyta go pewnie ta ładna blondynka przy kasie, gdy będzie wychodził. Nie, nie zapyta. Przecież on nic nie kupi. Jest tu tylko po to, żeby porozmawiać z kimś bardzo zajętym. Ale nawet bardzo zajęci ludzie robią zakupy.

Szczupły, siwiejący mężczyzna zamarł na chwilę przy regale z makaronami. Nie dał rady ukryć zaskoczenia.

– Myślę... – zawiesił głos. – Myślę, że niepotrzebnie pan się fatygował. Ktoś przeczulony wprowadził pana w błąd. Mógłbym prosić, żeby pan odpuścił? Podobno w Bydgoszczy narobił pan strasznego bałaganu w zeszłym roku.

– Może pan poprosić, ale ja się nigdzie nie wybieram.

– Dalej pan twierdzi, że Kamila zaginęła? Racibórz to nie jest dziki zachód wie pan, to nie jest Sandomierz, ten telewizyjny, gdzie co tydzień kogoś mordują. Jeśli będzie pan trwał przy swoich wątpliwych teoriach, to być może będą musiały się panem zająć organy ścigania.

– To kłamstwo! Kopernik była kobietą! – zarechotał, reagując na luźne skojarzenie, które pojawiło się w jego głowie.

– Jeśli pana domniemane zdolności detektywistyczne są na poziomie poczucia humoru,  
to chyba tym bardziej powinien pan sobie odpuścić.

Stali tak obaj przy regale. On milczał, mężczyzna z koszykiem sklepowym w dłoni w tym czasie zdążył odpowiedzieć na „dzień dobry” co najmniej pięciu osobom.

– To gdzie pana zdaniem jest pani Kamila, co? Sączy w najlepsze kawkę w Gelatopiu  
i obserwuje spacerujących po rynku? Ja wiem. Pan mi powie to samo, co już słyszałem.  
Pani Kamila z teczką opowiadań kryminalnych zrobiła sobie malutki urlop, zaszyła się gdzieś i je sobie wertuje. Bo żyjemy w takim kraju, gdzie ot tak można nie pójść do pracy i zaszyć się gdzieś... To, że ktoś dostał od pani Kamili smsa, a ktoś inny zasrane dwa zdania na portalu społecznościowym, to zasłona dymna. Nie wiem, co wam w Raciborzu strzeliło do łba z tym konkursem!?

– Ale proszę nie robić scen – odparł mężczyzna z koszykiem.

– W pierwszej edycji dostajecie opowiadanie, które musi zostać odrzucone, z przyczyn formalnych. Bardzo dziwny tekst. W drugiej tak samo. Mam kserokopie. To nie były miłe bajeczki na dobranoc. W takiej sytuacji organizujecie w mieście konkurs na opowiadanie kryminalne?!  
To trzeba było kuźwa od razu na opowiadanie grozy! A co tam. Jak robić punkt zapalny dla psychopaty, to na całego. Niech czyjąś głowę wyłowią z Odry! – wyrzucił z siebie.

Ktoś upuścił puszkę szprotek.

– Proszę pana, żeby pan zszedł nieco na ziemię. Z uporem maniaka, tak jak podczas wizyty w urzędzie będzie pan twierdził, że komuś z Jury, a konkretnie pani Kamili grozi niebezpieczeństwo? Ktoś powinien według pana i pana chorej wyobraźni czuć niepokój?

– Heh – zaśmiał się. – Wie pan, kim chciałem być dzieciństwie? Kryptozoologiem.

Widział, jak szczupły, siwiejący już mężczyzna w okularach poczerwieniał na twarzy.

– Poszukiwaczem bestii, w które nikt nie wierzy. A one są wśród nas. Myślicie, że faceci  
z małą kamerką w dłoni czają się nocą za oknem tylko w filmach? Że sąsiad, który ma czasem podrzucone nasze klucze do mieszkania, nie robi sobie duplikatów, żeby nocą poleżeć sobie pod cudzym łóżkiem?

– Niechże się pan uspokoi. Jeśli ma pan uzasadnione obawy, proszę udać się na Komendę. Do widzenia panu.

Mężczyzna uśmiechnął się najmilej, jak tylko mógł w tej dziwnej sytuacji i ruszył w stronę kas. Nagłe i głośne „lenk” zatrzymało go w miejscu. Odwrócił się.

– Co proszę!?

– Lęk! – Mężczyzna z bokobrodami wyglądał, jakby gotował się do ataku. – Lęk. Powinniście zacząć odczuwać lęk. Dopóki ja was od niego nie uwolnię.

\*\*\*

Zły i rozdrażniony wracał do mieszkania. Kierował się już ku blokowi, w którym wynajmował mieszkanie, gdy nagle jego uwagę zwróciło przejeżdżające ulicą dostawcze auto.  
Czy nie widywał go zbyt często? Nie, tego oklejonego nazwą firmy cateringowej nie, ale przysiągłby, że ma gdzieś z tyłu głowy obraz podobnego pojazdu. Czemu go zapamiętał?

Cierpliwości starczyło mu tylko na odwiązanie sznurowadeł jednego buta, drugi ściągnięty na chama huknął o ścianę korytarza. Wziął kilka głębokich oddechów. Cierpliwość, przecież tego teraz najbardziej potrzebował.

Zasiadł w pokoju i włączył kolejne nagranie. Następny fragment godzin, bardzo wielu godzin nagrań. Kamera, zamontowana cichaczem na budynku Liceum dla Dorosłych, niczym czarny ptak, który przycupnął na ceglastym gmachu, obserwowała od kilkunastu dni wszystko, co się dzieje na ul. Kasprowicza.

Zaczął przekopywać się przez przepastne zasoby dysku twardego swojego laptopa. Trzeba było bardzo nie lubić siebie, by katować się przeglądaniem nagrań wideo ulicznego ruchu. Nijakie auta, nieznane twarze, setki postaci, które jak mrówki wędrowały codziennie w pobliżu biblioteki, zajęte swoimi sprawami. Na szczęście wykonywał na bieżąco pobieżne notatki, by mieć orientację w tym, gdzie szukać interesującego fragmentu obserwacji.

Wyszukał odpowiedni plik i uruchomił go w odtwarzaczu. Nie mylił się. Znalazł to, o co mu chodziło.

Żółtawe dostawcze auto, które zatrzymało się 6 dni temu nieopodal biblioteki. Dopiero po kwadransie wysiadł z niego mężczyzna w jeansowej kurtce. Niepewnie przeszedł przez ulicę,  
w strugach deszczu wszedł na schody prowadzące do budynku, ale w pewnym momencie obrócił się na pięcie i szybkim krokiem wrócił do auta. Później nic się nie działo. Pojazd mijały kolejne mamy z dziećmi, styrani codziennością i kryzysem wieku średniego jegomoście, dziewczyny, które pomyliły chyba pory roku i jeszcze jesienią prezentowały wszystkim brąz swoich ud, obsianych gęsią skórką w deszczowy dzień. Nagle przy aucie zatrzymał się rudowłosy chłopak, w charakterystycznej kurtce, jak z amerykańskiego serialu. W ujęciu z kamery widać, jakby rozmawiał z kimś znajdującym się w żółtym aucie, po czym dziarskim krokiem, chowając coś pod kurtką, ruszył do biblioteki.

Wcisnął pauzę. Może i nie był sobie w stanie przypomnieć, ile razy podczas śledzenia dziesiątek godzin nagrań widział dostawczaka, ale rudego chłopaka, który najwyraźniej zwinął kurtkę któremuś z bohaterów Teen Wolfa, zapamiętał doskonale.

\*\*\*

Plecak podskakiwał przy każdym kroku Marcina, a w jego głowie przeskakiwały kolejne myśli, dotyczące Kaśki. O co ten jej cały foch? Bo znalazła w historii przeglądarki jego kompa adresy stron z kamerkami, gdzie za kilka elektronicznych żetonów można obejrzeć co nieco u mniej pruderyjnych lasek? Bez sensu. Wszyscy to oglądają. Biłby się z tą myślą jeszcze trochę, gdyby nie zaskoczył go dziwny koleś z gębą jak Wolverine, który jakby na niego czekał oparty o ogrodzenie.

– Młody, mam dla Ciebie pytanie.

– A jakie?

– A takie wyobraź sobie za 100 zł. Kilka dni temu gadałeś z facetem w żółtym dostawczaku. Powiesz mi, czego chciał i stówa jest twoja.

– Tak po prostu? – Rudzielec rozejrzał się, jakby myślał, że jest w programie „Ukryta Kamera”. W sumie był. – Facet dał mi 50 zł za to, żebym zaniósł do biblioteki kopertę. Papiery jakieś, koperta taka czarna. Wziąłem kasę, kopertę pod kurtkę, bo padało, no i zaniosłem.  
Gdy wyszedłem, faceta już nie było. Nie wiem, kto to był nawet.

– Nie szkodzi, ja wiem.

– Kto? – dopytał nastolatek.

– Ktoś, komu wydawało się, że jest ostrożny.

\*\*\*

Albert mógł spokojnie uznać dzień za udany. Co nie znaczy, że nie mogło być jeszcze lepiej. Cenił swoje małe rytuały, więc jak zwykle dla poprawy humoru udał się tam, gdzie namacalnie odczuwał wręcz porządek wszechświata.

Zabrał termos, zwinięte w rulon kartki i przycupnął na raciborskim rynku. Tu zawsze miał wrażenie, że choćby problemy tego świata nie wiadomo jak mocno napierały na niego, choćby nie wiem jak wiele jadu lało się z telewizora, z okładek czasopism, to cały ten brud życia rozbija się o mur okalających rynek kamieniczek. Gdy podeszwa buta wywoływała chrzest trąc o bruk, gdy czuł pod palcami chłód lakieru drewnianej ławeczki, to był pewien, że jest w miejscu, które opiera się temu całemu ściekowi podłej nowoczesności.

– Co takiego ciekawego pan znowu czyta, panie Albercie? – zagadnęła korzystając z chwili przestoju kelnerka z gastronomicznego ogródka.

– Takie opowiadanko. Kryminalne, te klimaty. Wyrafinowany morderca z konieczności, Racibórz. Policja nawet nie ma pojęcia o jego istnieniu, a on wprowadza w życie swój plan, żeby naprawić różne rzeczy. Żeby krzywdzący poznali co to krzywda.

Urwał. Miał wrażenie, że uśmiechnięta brunetka w przyciasnej bluzeczce wyłączyła  
w swym mózgu opcję analizowania jego słów już w połowie pierwszego zdania. Jego palce zacisnęły się na pliku kartek.

– Morderca, fajnie – powiedziała.

Kelnerka wróciła do swoich zajęć. On wstał i szybkim krokiem opuścił rynek. Nie miał zamiaru udawać, że nie wyczuł lekceważenia w głosie kobiety. Wsiadł do zaparkowanego nieopodal żółtego auta. Wiedział już, że tą czarnulką zajmie się niebawem, ale najpierw musi nocą zajrzeć do swojej pierwszej ofiary. Niedoszłej, ale już niebawem ofiary.

Oni mogą sobie rozstrzygać ten zabawny konkurs jak chcą, ale to o jego wyczynie będą piać we wszystkich portalach i gazetach w regionie, a nawet w Polsce. Groza okrucieństwa będzie wylewać się jak z kipiącego gara, aż powaga sytuacji zaleje cwaniaczków, hejterów z internetu  
i całe to towarzystwo.

\*\*\*

Polska w budowie. Dobre zmiany. Trzeba budować, rozbierać, kuć, remontować. Trzeba gonić zachodnich sąsiadów, tyle jest przecież do nadrobienia. Dlatego w swoim aucie z nazwą swej mozolnie rozwijanej firmy budowlanej czuł się, jak w żółtej czapce niewidce. Kogo interesuje wóz budowlańca zostawiony pod blokiem? Zaparkowany na tyłach starej ruiny? Już dawno doszedł do wniosku, że wynajmowanie innego auta dla celów nowego hobby to marnotrawstwo pieniędzy, bo kogo interesuje utytłany w błocie bus.

Teraz Albert był w miejscu, gdzie nikt o zdrowych zmysłach nie chciał się znaleźć po zmroku. Opuszczony raciborski szpital wyglądał, jakby zasiedlały go tysiące dusz tych, którzy tu wyzionęli ducha na wykrochmalonym prześcieradle. Może też tych, którzy zwyczajnie wykończyli się w swoim wymemłanym fotelu przed telewizorem, ale wrócili w odwiedziny do miejsca, w którym się urodzili i odcięto im pępowinę.

Nie, to nie był budynek wyglądający na zwykłą, nawiedzoną chałupę. Gmach wyglądał, jakby w jego wnętrzu, gdy nikt nie patrzy, kotłował się rój dusz, które kiedyś - jak jakiś sklecony chałupniczo ładunek pełen śrub i gwoździ - eksplodowały na wszystkie strony, tłukąc szyby i szatkując wnętrza, by rozprute korytarze i sale szpitala mógł pokrywać naturalny opatrunek z pajęczyn i kurzu.

Minął kilka pomieszczeń. Chrzęst deptanego gruzy płoszył umykające szczury. Albert szedł do pomieszczenia, na którego aranżację i wygłuszenie poświecił tyle czasu i środków. Idealne dla tej cwaniary, która jednak dała się zwabić ukrytymi w jego opowiadaniu zagadkami, które tylko ona mogła dostrzec. Rozmyślania Antoniego zostały nagle przerwane.

Otworzył zasuwę. Zdębiał. Oblał go pot. Wiedział, że ktoś wypuścił kobietę.

– Możemy to zrobić w sposób bezbolesny albo... Nie, kogo ja oszukuję – huknął jakiś głos za jego plecami.

Albert zdążył jeszcze sięgnąć po paralizator, ale po chwili go upuścił, gdyż uderzenie stalowym prętem złamało mu rękę. Na oślep próbował mężczyźnie w czarnym płaszczu zadać cios lewą ręką, ale ten z impetem runął na niego. Poczuł, jak ktoś ciska nim o ścianę, od której odbił się z hukiem, który mieszał się z dźwiękiem pękających kafelków.

Z każdym spadającym na niego uderzeniem czuł się bardziej kruchy. W końcu stracił przytomność.

\*\*\*

Atmosfera nieprzewietrzonego przedziału wpędzała go w coraz większe otępienie. W nocnej ciemności mijane osiedla, miasteczka i wsie były zestawem łun i świecących punkcików.

Już świtało. Płaszcz, którym się okrył, zsunął się niedbale z niego, a bateria laptopa, którego zapomniał w porę wyłączyć, miała zaraz paść.

– Pan też lubi literaturę? – zapytała siedząca naprzeciwko kobieta. Odłożyła kryminał, zakupiony zapewne w dworcowym kiosku i wskazała na ekran jego laptopa. Trzecia edycja konkursu „Racibórz prozą zaczarowany” rozstrzygnięta – informowała strona jakiegoś portalu, prezentująca grupkę ludzi siedzących na tle regałów pełnych książek. Ot, news sprzed kilku tygodni.

– Pani się może wybiera na dłużej do Ostrowa Wielkopolskiego? – zapytał, zamiast samemu odpowiedzieć grzecznie na pytanie.

– Tak, na tydzień do rodziny.

– Niech pani wraca do domu. Słyszała pani, że tam znów widywany jest paw?

– Jaki paw? Ale co to ma do rzeczy?

– Niech mi pani wierzy. Niech pani wraca do domu. Woli pani nie wiedzieć, co to znaczy.